№ 25

ROZMAITOŚCI Warszawskie.

NIEDZIELA 26 MARCA. — DODATEK DO KORRESPONDENTA. — ROKU 1837.

BOB.

(Powieść z niemieckiego, P. Czoke.)

(Ciąg dalszy)

Wtem, nie wiem jakim sposobem, przyszła mi na myśl dawno już zapomniana historyja mego bawienia w Wiedniu, a przytem naturalnie i piękna Panna de Tarnau. Szczęściem przecież, że sam jeden w pokoju znajdowałem się, ponieważ (jak się mnie zdawało) na to wspomnienie cały w ogniu stanąłem; to przynajmniej pewna, żem się nagle porwał z sofy, i w wielkiem poruszeniu umysłu wyciągnąłem ramiona w powietrze, jakbym ten boski obraz chciał objąć. Westchnąłem — nie, nie westchnąłem, alem wykrzyknął z uczuciem radości i żalu, z uczuciem nadziei i rozpaczy: »Józefino! Józefino!« — Otóż teraz dopiero, jak rozumiem, nadeszła była owa magiczna godzina, a dla powiększenia mego nieszczęścia, dało mi bożyszcze snów widzieć następującej nocy *bob na śniegu*. Józefina była sama z siebie dość dla mnie piękną, ale moje zwodnicze wyobrażenia przeistoczyły ją w nadziemską, uroczą istotę. Nie chciejcie się śmiać ze mnie. Ja poszedłem do łóżka bardzo trzeźwo; ale nazajutrz wstałem upojony najsłodszą namiętnością. Od tej chwili mój dom stał się dla mnie tak czczy i pusty, jak był zapewne ów zamęt przed stworzeniem świata. Szukałem Józefiny wszędzie, widziałem ją wszędzie; wyobrażałem ją sobie, to jako już moją małżonkę, to przy swej domowej robocie przy oknie, to przy klawikorcie, a ja za nią przysłuchiwający się; to obok mnie śniadającą przy małym stoliku. Wszystkie jej nieporównane wdzięki, jej uśmiech, jej spojrzenia, jej głos najprzyjemniejszy, przedstawiały się w mym umyśle coraz doskonalszemi i piękniejszemi! Sam sobą nie władałem; utonąłem w bezdno moich uczuć; a kiedy nad miarę onemiż przejęty zostałem, wykrzyknąłem często z radości, często zapłakałem z żalu; a osobliwie, gdy mi to na myśl przyszło, iż mnie Józefina odrzucić może. Muszę wyznać, że mi wcale nie trudno przychodziło, czy to być wesołym, czy płakać, gdyż stałem się podobnym owemu bezzmysłów marzycielowi, który wewnętrznym tylko urojeniom poddając się, dla obecnych przedmiotów głuchym jest i ślepym. Ten stan był dla mnie samego nieznośnym! Rozporządziłem więc moje interesa, kazałem zamówić pocztowe konie i poleciałem do Wiednia.

Zaprzeczyć nie mogę, że w czasie podróży przychodziły mi niekiedy do głowy bardzo ważne zastanowienia. Ileż-to w przeciągu szesnastu miesięcy zmian zajść mogło! Może ona kogo innego kocha. Może już jest zamężna. Ona sama sobą nie rozrządza, ile, że jeszcze jest bardzo młoda. Ona ma rodziców i krewnych, a tych widoki może niekoniecznie z naszemi są zgodne. Ona może jest wysokiego urodzenia. Jednak przypominałem sobie także nasze podówczas przyjazne związki; pocieszałem się

przyzwaniem na pamięć owej bladości twarzy, owych zapłakanych oczu, i owego czułego, choć-to niby nie umyślnie, ściśnienia ręki. Z tego układałem sobie przekonanie o Józefiny dla mnie czułości, a co większa, uważałem to za dowód jej niewątpliwej ku mnie miłości, mimo to, że podobne pozory możnaby także inaczej tłumaczyć; ale dla odwrócenia rozpaczy, należało sobie tak pochlebiać, tem się uspokajać, iż Pannie de Tarnau nie byłem obojętny. Lepiej śmierć, niż bez niej życie; przekładałem szaleństwo w uszczęśliwieniu, nad rozum w rozpaczy!

Z takowemi myślami i z takiemi układami przybyłem powtórnie do Wiednia. Wtenczas dopiero, gdym już zdaleka wieże tego miasta ujrzał, przyszło mi na myśl, żem wszystkie prawie okoliczności w drodze rozważył, wyjąwszy tylko tę jedną: że Józefina przed rokiem była w Wiedniu, równie jak i ja sam, obcą, i że bardzo trudno, aby tamże jeszcze zostawała.

* * *

Jak się mnie ta moja bytność w Wiedniu powiodła, jużem to na początku opowiedział. Panna de Tarnau zniknęła. Dom gościnny miał już innego pana, i żaden żywy człowiek nie znajdował się, któryby mi w tem zdrową dał radę. Wszyscy znajomi nie więcej ode mnie wiedzieli, dokądby odjechała. Dla dogodzenia mi, pisano do Augsburga, zkąd ona, czy raczej jej ciotka, weksle i listy zalecające miała; ale tymczasem korrespondent augsburgski umarł, a jego dziedzice nie umieli najmniejszej dać mi wiadomości o Pannie de Tarnau. Słowem, byłem rozpaczający, a najbardziej gniewałem się sam na siebie. Alboż-to nie moja własna była wina, że, podczas poprzedniczej mojej w Wiedniu bytności, tak byłem opieszały i obojętny, żem zaniedbał wywiedzieć się o tem wszystkiem, co się tyczyło jej familii i miejsca pomieszkania? To prawda, że pod ten czas o tem ani pomyślałem: iż się w pięć kwartałów później na zabój w niej zakocham!

Co moim żalom i zmartwieniom ulgę robiło, i co moją gwałtowną miłość tem więcej rozżarzało, były jej pokoje, w których teraz mieszkałem. Znalazłem w nich też same meble, toż samo krzesło, w którem zwyczajnie siadywała; tenże sam stół, na którym pisywała; zgoła: cała przeszłość stawiała się obecną moim oczom tak dalece, że często nagle z mego krzesła zrywałem się, skoro tylko jakowy szmer około drzwi dał się słyszeć, bo myślałem, że to ona ma wejść z swoją ciotką! Wewnątrz pokojów nic nie puściłem bez przeglądu, miałem bowiem zawsze jakąś nadzieję znaleźć jakowebądź o niej poszlaki; może dwadzieścia razy na dzień oglądałem ściany od dołu aż do powały, czy pomiędzy napisami różnych podróżujących na jej imię nie natrafię, i jakiej wiadomości o jej ojczyznie nie powezmę. Wszystko było nadaremnie!

Rzecz szczegulniejsza — chociaż bardzo mało znacząca — że zaraz pierwszego dnia, gdym się do tego pokoju wprowadził, znalazłem w szufladce stolika — ale nie chciejcie się śmiać ze mnie! — piękny, brunatny, śklnący się *bób*. Wiadomo, jak dalece ten owoc stał się dla mnie tajemnicą świętą; a teraz znalazłem go w izbie Józefiny! Wyjąłem go z chciwością; a gdym już zupełnie stracił nadzieję znalezienia kiedyś w mem życiu mojej ulubionej, zaniosłem ten bób do jubilera; kazałem go oprawić w złoto, tak, abym go mógł na jedwabnym sznurku na mojej piersi nosić, a to dla pamiątki tej najmilszej osoby z płci swojej, i dla ustawicznego przypominania sobie mojej tragicznej miłości. — Tak tedy rozstałem się z Wiedniem. Miałem się za najnieszczęśliwszego i bez pocieszenia. Poprzysiągłem w duchu, nigdy się nie żenić. Ach! czegoż-to człowiek przez prędkość nie przysięgnie!

* * *

Przybywszy do ojczystego miasteczka, żyłem jakby wdowiec. Wszystkie dziewczęta zdawały mi się nieznośnemi, nieokrzesanemi i zwyczajnemi. Zagrzebałem się w moich zatrudnieniach, i rozrywałem się hazardownemi przedsiębierstwami. Nie bywałem w żadnych towarzystwach i od nich umyślnie stroniłem. Jedynie tylko obraz Józefiny, jakby ów pocieszający anioł, stał przed mojemi oczyma; a bób, zawieszony na moich piersiach, był dla mnie tak miłą relikwiją, jakbym ten klejnot z własnych jej rąk był otrzymał. Nie zazdrośćcie nieszczęśliwemu jego słodkich marzeń! Nakoniec wmówiłem

w siebie, iż piękna de Tarnau sama umyślnie ten bób w szufladkę stolika włożyła. Podobne przyjemne marzenia są częstokroć tak dobre jak i filozofija, przez którąby człowiek chciał być szczęśliwym.

Moja powierzchowność nie była zapewnie wiele szczęśliwości obiecującą; wszyscy albowiem okrzyczeli mię za melancholika, za niebezpiecznie chorego. Stryjaszkowie i ciotunie niepokoili mię prośbami, zapraszaniami, rozrywkami, a nawet lekarzy nasyłano do mojego domu; ale to wszystko ani mnie, ani im się na nic nie przydało.

Aby się jednak uwolnić od naprzykrzonych natrętników, i pokazać im, że jestem jeszcze jak i inni ludzie na świecie, musiałem niekiedy w tygodniu choć raz odwiedzić wieczorne posiedzenia moich przyjaciół. Tym sposobem, jednego razu przyjąłem zaproszenie P. Hildebranda, Radzcy Sprawiedliwości. Teraz dopiero dowiecie się o najciekawszej katostrofie mojego życia.

* * *

Ponieważ mnie niektóre interesa za długo w domu zatrzymały, wyjechałem cokolwiek za późno do Radzcy Hildebranda, gdzie zastałem już zgromadzonych gości. Wszyscy prawie byli mi znajomi, wyjąwszy tylko jednego, który był mi przedstawiony jako Podpułkownik w służbie rosyjskiej, a od czterech dopiero miesięcy posiadacz włości, o półtory mili drogi od naszego miasta. Ja na to wszystko mało zważałem, a uczyniwszy zadość grzeczności skinieniem głowy i położywszy na bok kapelusz, usiadłem. Wszczęto rozmowę: tem lepiej dla mnie, który nie miałem wielkiej ochoty do mówienia.

Rosyjski Podpułkownik, wysoki i silny mężczyzna, przyjemnej i poszanowanie wzbudzającej postaci, już przeszło sześćdziesięcioletni, jednak jeszcze pełen ognia, najwięcej zwracał moję uwagę. Miał on orderową wstążkę u guzika na piersi, a na czole i twarzy kilka blizn dość dużych. Głos jego był donośny i rozkazujący; było poznać po nim, że przywykł do komenderowania. Mówił o Persyi i o Multanach, gdzie się na wojennych wyprawach znajdował; radzi go wszyscy opowiadającego słuchali, i on też dobrze opowiadać umiał.

Po wieczerzy kazał Radzca poncz roznosić, przez co zabawa stała się tem żywszą. Stary oficer rozprawiał o jednej potyczce, w której dostawszy postrzał w piersi, z konia zleciał, i przez Turków pojmanym został. W zapale opowiadania, chcąc pokazać bliznę na piersiach, rozpiął pospiesznie kamizelkę, a natenczas spostrzegliśmy, że miał jakąś złotą puszeczkę, na jedwabnym sznurku. On sam wyciągnął ją na wierzch i zawołał: »Wszystko mi zabrali okrutni janczarowie, ten tylko jeden klejnot, najdroższy z całego majątku, uratowałem!? Naturalnie każdy rozumiał, że to był albo dyjament szczególnej wielkości, albo też perła ogromnego szacunzdobycz ze Wschodu. — »Ach nie!« — rzekł Podpułkowik: — »to jest tylko bób!« — Bób?— krzyknęli wszyscy. Ja zaś cały ogniem spłonąłem, albo też może jako trup zbladłem, lub też byłem na przemiany jedno i drugie; gdyż z przestrachu straciłem przytomność. — Jak mógł ten człowiek przjść do bóbu— pomyślałem sobie: — zkąd mu przyszło kazać bób w złoto oprawić i nosić go za relikwiję na piersiach, podobnie jak ja?« — Niech się każdy w mojem położeniu postawi i osądzi, co się ze mną działo. Radbym był z duszy dowiedzieć się przyczyny, dla której on bób na piersiach nosił, alem słowa przemówić nie zdołał. Wychyliłem całą szklankę ponczu, abym się ośmielił do zapytania, ale nim się do tego zabrałem, już się pytania ze wszech stron ozwały.

— Ja wam to chętnie opowiem, — odrzekł oficer, nakładając sobie fajkę; ale się obawiam znudzić was moją gadaniną; dla tego zróbcie to, co ja robię: ponakładajcie sobie moi panowie także fajki.— Każdy był temu posłuszny, nawet i ja, choć nigdy tytuniu nie paliłem: przyłożyłem do ust zimną fajkę, jedynie z obawy, aby Pułkownik, ujrzawszy mnie bez ukochanego instrumentu, nie zaniedbał opowiadania swego.

»Moi Panowie, macie wiedzieć, że już w piętnastym roku wieku mego byłem Kadetem, a w dwudziestym Podporucznikiem (tak zaczął stary Podpułkownik); ale w dwudziestym piątym człowiek jest czemś więcej, niż Podporucznikiem. Człowiek jest królem świata! *nota bene:* jeźli jest zakochanym. A ja właśnie w takim byłem przy-

padku. Nasz Pułkownik miał córkę; najpiękniejszą, najdowcipniejszą w całem królestwie panienkę; ja zaś, prócz pary zdrowych oczu, miałem także extra zdrowe serce. Z tego wnieść można, co się działo. Młoda Hrabianka de Oberndorf — ja przecież wolałem ją nazywać po cichu Zofiją, po jej imieniu, ile że, *nota bene!* nie byłem Hrabią — ta tedy Zofija miała lat szesnaście; ja zaś, jak powiedziałem, dwadzieścia pięć. Pojmiecie to Panowie bez trudności, co ztąd za nieszczęście wyniknąć musiało. Że go ominąć nie było można, to każdemu jasno. Ale Panu Pułkownikowi, który tylko w rzeczach regimentowych miał wzrok jastrzębi, ani przez głowę to nie przeszło; bo też *nota bene!* moja miłość także nie była interesem regimentu. Był-to człowiek zacny, wiele znaczyłem u niego, kochał mnie jak swego syna; znał on moich rodziców, którzy już wówczas nie żyli, zastępował u mnie miejsce ojca, i ja byłbym chętnie wszystko dał w świecie, gdybym mógł był jego być synem, ale o tem nie wolno było ani pomyślić. On był Pułkownikiem, a ja tylko Podporucznik; on Hrabia, ja tylko prosty ślachcic; on bogaty, jak Krezus, ja ubogi w całem tego słowa znaczeniu. Teraz wiecie Panowie wszystko. Wielki był między nami przedział. Hrabianka Zofija ani przez pół tyle nie kładła wagi na tytuły, ubóstwo i rangę Podporucznika, ile kładł stary wojownik, i prawdę mówiąc, ona była w wielu rzeczach roztropniejszą od niego.

Spostrzegłem ja to wprawdzie, że Zofija dla mnie zawsze była grzeczniejszą, niżli dla innych oficerów, że się ze mną najchętniej bawiła, najchętniej szła do tańca, że w lecie najchętniej ze mną przechadzać się, a w zimie sankami jeździć lubiła; z tego atoli nie mogłem się jeszcze zapewnić, że mnie kochała; ale, że ja Zofiję kochałem, żem ją ubóstwiał, o tem aż nadto dobrze wiedziałem. Tysiąc może razy chciałem jej wszystko wyznać, chciałem jej do nóg upaść. Ale mój miły Boże! prędzejbym był, z nieustraszonem sercem, z jednym tylko batalijonem przeciw najmocniejszej bateryi do szturmu poszedł, niż wówczas bliższy krok do mojej szanownej Zosi uczynił. Słowem, powiadam wam, iż nic mi się nie wiodło. Nie chcę was tu długo nudzić opowiadaniem moich miłostek i zmartwień, i dla tego do głównej rzeczy przystępuję.

Jednego wieczora wypadło mi zdać raport Panu Pułkownikowi. Nie zastałem go w domu, co dla mnie nie było wielkiem nieszczęściem, bo Hrabianka Zofija sama jedna przyjęła mię w pokoju, i pozwoliła mi czekać u siebie na ojca. Trzeba wiedzieć, że z nami była rzecz szczegulniejsza. Byliśmy na przykład w licznem towarzystwie, tośmy się dosyć nagadać nie mogli; a gdy nam przyszło być sam na sam, jakto mówią, między czterema oczyma, tośmy słowa do siebie przemówić nie umieli. Ach, umieliśmy wprawdzie, i bardzo dobrze, tylko *nota bene!* nie śmieliśmy sobie tego pozwolić! Nie wiem, moi Panowie, czyli wam w młodszych waszych latach podobne fatalności wydarzyły się kiedy. Przed młodą Hrabianką leżała, pośród świec gorejących, przewrócona tablica szachowa, nazywano to: grą w młynka. Na stoliku leżała równa ilość tak białych jak i ciemnych bobów, któremi się miejsca gry na tablicy naznaczały. Po niejakiej chwili milczenia w krótkiej rozmowie naszej, które-to pauzy *nota bene!* nie były dla nas wcale nudnemi, zaprosiła mnie Hrabianka do gry. Oddała mi na ten koniec wszystkie ciemne boby, a sobie zatrzymała białe, i te już dla samego koloru niewinności sprawiedliwie do niej należały. W ciągu gry był jej młynek każdej prawie chwili napełniony; to nie mogło się obejść bez kłótni; a czemu ja rad byłem, ile że w kłótni można jej było wiele rzeczy powiedzieć, do czego przy zimnej krwi niemiałbym był śmiałości. Teraz dopiero tak się nam działo, jak gdybyśmy się w najliczniejszem znajdowali towarzystwie, to jest: gadaliśmy na wyścigi i niby o zakład.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

SZARADA.

Pierwsza z *trzecią* ma części dostatki tworzące;
Druga z *trzecią* narzędzie, czyn ułatwiające.
Wszystko dla nas mieć będzie podwójne znaczenie,
Bo, albo łechce ucho, albo podniebienie.